

NIC WAM
NIE JESTEM
WINNA



L A U R A S T E V E N

NIC WAM
NIE JESTEM
WINNA

Tłumaczył Maciej Potulny

must read

Tytuł oryginału
THE EXACT OPPOSITE OF OKAY

Copyright © 2018 by Laura Steven
All rights reserved
Copyright © 2022 for the Polish translation
by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt graficzny okładki
Andrzej Komendziński

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach
i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie
pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-187-4

Must Read jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Skład i łamanie
Radosław Stępniaak | **SPOLY** studio

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność,
promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej
kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich,
a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz
książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów
i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.

*Dla Torii i Lucy, moich wiedźm –
bo, jak w nieśmiertelnej piosence Kelly Clarkson,
bez Was moje życie byłoby do bani.*

Hejka

Słuchaj, pewno kupiłaś tę książkę, bo przeczytałaś w blurbie, że jestem sierotą, wszystko straciłam, znalazłam się w centrum ogólnokrajowego skandalu i zostałam napiętnowana jako zdzira. Pomyślałaś więc: „O, fajnie! Właśnie takiej chwytającej za serce historii potrzebowałam, żebym sama poczuła się lepiej”. Ale wiesz co? Poważnie – weź wyluzuj. Nie jestem jakimś szukającym litości dzieckiem Olivera Twista i Kim Kardashian. Jeżeli liczysz na to, że osiągniesz katharsis, roniąc przy tym łezkę, to ja ci niestety nie pomogę. Polecam obejrzyć jednym ciągiem kilka szpitalnych dramatów – w nich na pewno znajdziesz potężną dawkę nieszczęścia z drugiej ręki, jeśli tak bardzo ci na tym zależy.

A może po prostu widziałaś te rozbierane fotki, które, no wiesz, prawie wszyscy już widzieli. Gazety poświęciły więcej uwagi moim asymetrycznym cyckom, niż przeciętnie poświęcają epidemiom o globalnym zasięgu, co na pewno doprowadza do białej gorączki zwolenników teorii o superwirusach. Z mojego powodu czyjaś ciężka praca służąca zagładzie ludzkości przeszła kompletnie niezauważona.

Tak z ręką na sercu, to nie wiem, dlaczego mój wydawca poprosił, żebym napisała tę książkę, bo oprócz tego,

że pewnego dnia zjadłam ciastko z haszem i włamałam się do domu starców, w moim życiu nie działa się nic specjalnie interesującego. Zresztą we właściwym czasie opowiem ci także o tym zdarzeniu. Nie ma ono żadnego związku z seksaferą ani właściwie z niczym, ale była z tego kupa śmiechu.

Wiem, wiem, konkretnie mieszam ci w głowie, zwracając się bezpośrednio do ciebie i mówiąc, że to książka, którą kupiłaś – chyba że ją spiraciłaś, a w takim razie masz za swoje, bo za czterdzieści pięć sekund ten PDF ulegnie samozniszczeniu – ale robię to dlatego, że jestem niewiarygodnie meta – oraz pretensjonalna i chciałam, żeby mózg cię szczypał tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz oglądałaś *Incepcję*.

Przed wszystkim chyba powinnam wyjaśnić, jak się znalazłam w obecnej sytuacji – dopiero osiemnaście lat na karku, a już mnie nienawidzi pół świata. Jednak zamiast marnować czas na pisanie wszystkiego od nowa, zrobię kopiuj-wklej wpisy z mojego bloga, żebyś była na bieżąco ze wszystkimi wydarzeniami, a w kwadratowych nawiasach dodam jedynie cenne refleksje snute z perspektywy czasu. Według moich obliczeń to powinno wypełnić jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent rękopisu, co mnie bardzo cieszy, bo wymaga ode mnie o wiele mniej roboty.

W razie jakichkolwiek wątpliwości zawsze staraj się wykonywać jak najmniej pracy, żeby oszczędzać energię na ważne sprawy, takie jak śmiech albo seks.

Co się tak patrzysz? To książka o seksaferze – naprawdę spodziewałaś się, że będę jakąś zakonnicą albo/i świętą dziewczicą?

Wtorek, 13 września

7.01

No słowo honoru, przysięgam, że chyba jestem jedyną osobą w całym kosmosie, która widzi, jakie bezsensowne jest życie. Ludzie zachowują się tak, jakby samo ich istnienie było pięknym darem, kompletnie zapominając o fakcie, że owo istnienie zawdzięczają jedynie wypadkowi, do którego doszło z kompletnie randomowych przyczyn 13,7 miliardów lat temu.

Nie chcę ci psuć zabawy ani nic w tym rodzaju, ale jesteśmy z góry skazani na ograniczoną liczbę okrążeń dookoła słońca, a na końcu każdy z nas kopnie w kalendarz i wyląduje w tym samym bezdenным piekle, co Donald Trump i Adolf Hitler. Możliwe, że za bardzo kombinuję, ale nic, co zrobimy między obecną chwilą a tą ostatnią, nie wydaje się warte wstawania z łóżka.

Może trochę dramatyzuję. Po prostu naprawdę nie lubię rano wstawać.

14.47

Właśnie wyszłam ze spotkania ze szkolnym doradcą zawodowym, panem Rosenqvistem, który jest bardzo ekstrawaganckim Szwedem. Kimś takim jak filmowy Brüno, tyle że mniej subtelny. Właściwie zdaje się,

że Brüno był Szwajcarem czy Austriakiem, albo kimś w tym rodzaju, ale nie o to chodzi.

Chodzi o to, że nie da się patrzeć na pana Rosenqvista, nie wyobrażając sobie Sachy Barona Cohena w blond peruce.

Ten facio bardzo, ale to bardzo stara się wszystkich namówić, żeby SPEŁNIALI SWOJE MARZENIA [mówi bardzo głośno, stąd wielkie litery], PRZECIERALI NOWE SZLAKI i PRZESTALI WSTRZYKIWAĆ SOBIE W WEEKENDY HEROINĘ. [To ostatnie hasło dodałam dla żartu. Gwoli wyjaśnienia: nikt w szkole Edgewood High nie wstrzykuje sobie heroiny na tyle regularnie, żeby ten fakt stanowił powód do zmartwień naszego doradcy zawodowego. Jeżeli jesteś prawniczką, to zignoruj takie uwagi, kiedy będą pojawiać się w książce, bo naprawdę nie potrzebuję dokładać procesu o zniesławienie do mojej już i tak imponującej listy problemów.]

Siedzimy w miniaturowym, pozbawionym okna gabinecie Rosenqvista. Domyślam się, że jest to schowek na miotły przerobiony na gabinet, o ile za wskazówkę można uznać wciąż unoszący się w powietrzu zapach płynu do czyszczenia dywanów. Doradca siedzi za miniaturowym biurkiem, które bardziej pasowałoby do krasnoludka.

Wszędzie dokoła stoją szafki na akta z teczkami wszystkich uczniów naszej szkoły. Domyślam się, że zapewne istnieje jakaś elektroniczna baza danych, która mogłaby zastąpić ten archaiczny system, lecz szkoły pasa biblijnego naprawdę uwielbiają wszystko robić zgodnie z Tradycją™.

No i ten doradca mówi:

– Zatem, O'Neill, czy już wiesz, szczerze chciałabyś studiować, kiedy jesienią pójdziesz do college'u?

[Dobra, już nie będę się starała naśladować jego akcentu, bo nie chcę wyjść na rasistkę. O ile można być rasistą wobec białych mężczyzn ze Skandynawii. Nie byłabym tego taka pewna.]

Oddychając przez usta z nadzieją, że dzięki temu zapach chloru nie wypali mi włosów w nosie, ćwierkam:

– Yyy, nie, proszę pana, myślałam raczej o tym, żeby przez jakiś czas podróżować, zobaczyć trochę świata i w ogóle.

Muszę uczciwie przyznać, że kolejne pytanie, które doradca zadaje podczas tego przesłuchania, dotyczące mojej sytuacji ekonomicznej, zapewne jest uzasadnione, skoro obecnie obie z babcią potrzebujemy większego dofinansowania niż armia Stanów Zjednoczonych.

– Czy zatem odłożyłaś przynajmniej trochę pieniędzy na bilety lotnicze? – pyta zupełnie niewzruszony faktem, że wyglądająca na kilkadziesiąt lat miotełka do kurzu właśnie zapikowała na ziemię z najwyższej półki za jego plecami.

Jako osoba marząca o karierze komika oraz, ogólnie rzecz biorąc, błazen, muszę się z całej siły powstrzymać przed przyznaniem pierzastej miotełce punktacji zgodnej z olimpijskimi standardami w kategorii skoków z trampoliny. Współczynnik trudności 8,9 itd.

Ale wracając do bieżących spraw – ujemnego salda mojego konta w banku:

– Nie, proszę pana. Jestem bezrobotną osiemnastolatką.

Doradca zawodowy cierpliwie przekłada miotełkę w bezpieczniejsze miejsce w szufladzie biurka i zerka

na mnie ze współczuciem. Z otwartej szuflady unosi się zapach spleśniałego jabłka. Rosenqvist szybko ją zamyka. W tym pomieszczeniu dałoby się znaleźć co najmniej kilkanaście przykładów naruszenia przepisów BHP. Zaraz, zaraz, czy to był tupot małych, mysich łapek?

– Rozumiem. A próbowałaś znaleźć pracę?

– Dobry Boże, to doskonały pomysł! – Udaję zachwyt i zaskoczenie. – Do tej pory nie brałam pod uwagę takiego sposobu rozwiązania problemu! Nie zastanawiał się pan nad tym, by zostać doradcą zawodowym?

Tak na poważnie, to drażliwy temat. W tym roku już trzy razy zaniosiłam moje CV do każdego sklepu, restauracji i hotelu w mieście. Ale jest za mało stanowisk albo za dużo ludzi. Moje podania jakoś nigdy nie trafiają na wierzch sterty podobnych teczek.

Rosenqvist wzdycha.

– Wiem, że to oczywiste pytanie. Ale... hm, próbowałaś?

Lekko rozdrażniona zaciskam zęby i sama też wzdycham.

– Tak, proszę pana, ale problem w tym, że obecnie nawet w przypadku podstawowych, najniższych stanowisk trzeba mieć co najmniej trzyletnie doświadczenie, dyplom z astrofizyki i dwa puchary Super Bowl, żeby się w ogóle załapać na rozmowę kwalifikacyjną. Niestety moje IQ poniżej przeciętnej oraz kompletny brak sprawności fizycznej sprawiają, że nie mam najmniejszych szans na zatrudnienie.

Ostatecznie dochodzimy więc do porozumienia, że natychmiastowy wyjazd do Afryki Południowej na wolontariat w rezerwacie słoni może i jest szlachetnym

oraz altruistycznym pomysłem, ale niezbyt wykonalnym w istniejących okolicznościach.

Wertując szokująco skromną zawartość mojej teczki, pan Rosenqvist obiera inną taktykę.

– Jakie przedmioty w szkole najbardziej lubisz?

Stara się ukryć wzdrygnięcie, kiedy widzi moją średnią ocen z wuefu.

Zastanawiam się chwilę, skubiąc nitkę wystającą z poduszki na metalowym krześle, na którym siedzę.

– Na pewno nie matmę, bo nie jestem socjopatką.

Pan Rosenqvist radośnie chichocze po szwedzku.

– Ani fizykę. Jak wyżej.

Nagradza mnie kolejny rozbijający chichot.

Jako feministka od razu czuję się winna, bo ostatnio wszyscy starają się zachęcać dziewczyny do studiowania przedmiotów ścisłych, ale szczerze mówiąc, nie jestem aż taką wojowniczką herbu macicy, żeby zmusić się do kariery programisty. Czasami lepiej mierzyć siły na zamiary.

Chodzi o to, że dokładnie wiem, jaką ścieżkę kariery chciałabym wybrać, ale brakuje mi odwagi, żeby powiedzieć to na głos. Większość doradców zawodowych interesuje tylko jedno – żeby wysłać cię do college'u. Szkoły średnie są oceniane tym lepiej, im więcej ich absolwentów kontynuuje naukę na uniwersytetach, zatem rady dotyczące kariery zawodowej dotyczą przede wszystkim wyboru studiów. Rzeczy, których nie uczy Liga Bluszczowa, są niegodne uwagi. A możesz wierzyć lub nie, ale żadna uczelnia Ligi Bluszczowej nie wyszkoli cię na komika.

Ponadto szansa na sukces w mojej wymarzonej branży jest raczej niewielka.

Zwłaszcza dla kogoś takiego jak ja.

Rosenqvist dalej stara się delikatnie wy badać sprawę.

– Może angielski?

Potakuję i wymijająco mówię:

– Lubię angielski. Zwłaszcza pisanie kreatywne. I zajęcia teatralne. – Zamiast ugryźć się w język, dodaję: – Czasami piszę i odgrywam skecze z przyjaciółmi. Dla zabawy. To nic wielkiego.

Sądząc po łaskoczącej fali żaru, który zalewa mi policzki, zrobiłam się jaskrawoczerwona na twarzy.

Jednak chociaż straciłam zimną krew, Rosenqvist zachowuje się tak, jakby nasza rozmowa przyniosła fantastyczny rezultat. Jego jasny wąs podskakuje na wszystkie strony niczym fretka, która wpadła do bębna pralki.

– FENOMENALNIE! SPEŁNIAJ SVOJE MARZENIA, O'NEILL!

[Mówiłam ci.]

Zatem może i nie wybrałam stabilnej ścieżki rozwoju, ale przynajmniej mam plecak pełen informacji o amatorskich kółkach dramatycznych, szkołach teatralnych i teatrach, które są zainteresowane przyjmowaniem scenariuszy. Właściwie jestem wdzięczna Rosenqvistowi za to, że nie zdyskredytował od razu moich niekonwencjonalnych ambicji zawodowych, jak to zrobiło wielu nauczycieli przed nim.

Powiedział mi nawet o swoim znajomym, który za przyzwoitą opłatą robi licealistom fotografie portretowe. Wiem, że to brzmi jak śliski biznes, ale postanawiam dać mu kredyt zaufania. Wkurzyłabym się, gdyby się okazało, że pan Rosenqvist na boku dostaje działkę za podsyłanie uczennic fotografowi-pedofilowi.

17.04

Dzięki entuzjastycznym radom pana Rosenqvista zostaje z własnej woli po lekcjach, żeby porozmawiać o mojej przyszłości z panią Crannon, nauczycielką prowadzącą w naszej szkole zajęcia teatralne. Widzisz? Spędzam na terenie szkoły więcej czasu niż to absolutnie konieczne. Z własnej, nieprzymuszonej woli. To wyraźny, jednoznaczny dowód, że kontrola umysłów nie jest wymysłem zwolenników teorii spiskowych, a mój uroczy, chociaż krzykliwy doradca zawodowy skandynawskiego pochodzenia naprawdę jest kimś w rodzaju Czarnego Pana specjalizującego się w telepatii. To jedyne wytłumaczenie. No, może nie jedyne. Oczywiście ci, którzy nie wierzą w siły nadprzyrodzone, pewno powiedzieliby, że podczas konsultacji Rosenqvist wykonał na mnie jakiś zabieg lobotomii.

[Z powodu mojego cynizmu i dowcipkowania może tego nie widać, ale naprawdę, szczerze lubię pisać. Jednak choćbym bardzo chciała, to nie jestem mądra w tradycyjnym sensie, takim, w jaki zwykle myśli się o pisarzach – należę raczej do kategorii: „ogląda dużo filmów” i „ma silną skłonność do robienia sobie jaj ze wszystkiego”. To zaś znaczy, że świat uczelni nie jest dla mnie środowiskiem pierwszego wyboru, o czym decyduje niewystarczający nacisk na treści dotyczące filmów oraz ogólna niechęć wobec robienia sobie jaj. Zupełnie jakby nauczyciele i wykładowcy nie chcieli słyszeć o tym, że tematy ich specjalizacji są okrutną, wyrafinowaną formą kary dla studentów za to, że się urodzili. Dziwne.]

Do gabinetu pani Crannon idzie się niepozornymi, zapomnianymi przez wszystkich schodami za salą teatralną. Wlekę się tam po ostatnim dzwonku, kiedy wszyscy

uczniowie o przytomnych umysłach już ewakuowali się z budynku. Uzbroiłam się w zeszyt, próbkę scenariusza oraz kilka ton czekoladek z masłem orzechowym, bo moim zdaniem spędzanie wolnego czasu na rozmowie z nauczycielami jest jak wizyta w salonie tatuażu – musisz stale utrzymywać wysoki poziom cukru we krwi, żeby wytrzymać ból i nie zemdleć.

Pani Crannon jest miłą kobietą. Nosi okulary w fioletowych oprawkach, sandały na korkowych podszewach i obłędne tuniki, a jej charakter można by umieścić na wykresie osobowości w okolicy ekscentryzmu. Zawsze przydziela mi świetne role w szkolnych przedstawieniach, bo mam tak donośny głos, że woźny nie musi ustawiać mikrofonu. Ostatnio na przykład gram Daisy w *Wielkim Gatsbym*, chociaż nie jestem ani trochę elegancka, ani olśniewająca.

Zawsze lubiłam panią Crannon, ale w taki sposób, jaki można by nazwać syndromem sztokholmskim. No bo czy ktokolwiek naprawdę jest w stanie lubić swojego nauczyciela? Zastanów się, człowieku. To ważne pytania filozoficzne.

Kiedy wchodzę, pani Crannon siedzi za biurkiem, na którym piętrzą się zbiory dramatów, kubki po kawie, a wśród nich stoi ogromny, beżowy komputer z lat dziewięćdziesiątych [stare dobre cięcia budżetowe]. Cały pokój pachnie zakurzonymi kostiumami i zwiertzałym lakierem do włosów. To moje ulubione zapachy.

– Izzy! Jak miło cię w końcu spotkać poza próbami.

Wprowadza mnie do środka. Zajmuję miejsce na dosłownie najniewygodniejszym plastikowym krześle, na

jakim kiedykolwiek miałam nieprzyjemność siedzieć. To istna Żelazna Dziewica świata krzeseł. Nie przesadzam.

– Dzięki – mówię, starając się sprawiać pogodne wrażenie kogoś, kto akurat nie przeżywa katuszy za sprawą krzesła sprawującego funkcję narzędzia tortur. – Przyniosłam czekoladki z masłem orzechowym, żeby osłodzić pani przykrość, iż nie może pani pędzić do domu, do pana Crannona.

– Właściwie do pani Crannon. – Nauczycielka się uśmiecha, machając lewą dłońią przed moją twarzą. Jej pierścionek zaręczynowy zdobi prawdziwy Dwayne Johnson wśród diamentów, a koło niego widnieje bogato zdobiona obrączka. – Jestem lesbijką. I mężatką. To połączenie słów, którego zrozumienie sprawia wyraźny problem dużej części populacji.

– Och! Super. Ale jak to jest, czarno na białym... [A może raczej „jak to jest, na tęczowo”? No mówię ci, co za kopalnia kawałów!] Do obu z was trzeba się zwracać: „pani Crannon”? Czy to nie prowadzi do pomyłek?

Nauczycielka śmieje się i sięga z zapalem do paczki czekoladek, którą przed nią położyłam.

– Masz rację. Z perspektywy czasu widzę, że chyba powinniśmy zachować nazwiska panieńskie. Ale musiałam przynajmniej w taki sposób uszczęśliwić moją wychowaną w katolickim duchu rodzinę.

Uśmiecham się.

– Nie korciło pani, żeby napisać jakiś szkic o dwóch żonach noszących to samo nazwisko?

Pani Crannon uśmiecha się serdecznie.

– To pytanie zřęcznie wprowadza temat twojej twórczości. Pan Rosenqvist powiedział mi, że sama pisesz scenariusze. To wspaniale! Opowiedz mi o nich.

Opiera się na krześle [wygodnym, wyściełanym grubą poduszką, z miękkim oparciem, o czym na pewno miło ci usłyszeć, jeżeli obchodzi cię los tyłka i kręgosłupa mojej nauczycielki].

Nagle czuję się nieco skrępowana, przede wszystkim dlatego, że rozumiem, iż mam prowadzić normalną dojrzałą rozmowę, która nie będzie usiana ordynarnymi zwrotami ani przesiąknięta głupim humorem służącym umniejszeniu mojej wartości. A ja już nieco zapomniałam, jak to się robi.

Coś tam idiotycznie bąkam pod nosem o Norze Ephron i sięgam do torby ozdobionej bogatą kolekcją agrahek i naszywek, które mają wywoływać iluzję, że jestem przynajmniej trochę *cool*. Wyjmuję przygotowaną próbkę scenariusza filmu pełnometrażowego, który napisałam ubiegłego lata. Jego *logline* [czyli jednozdaniowe podsumowanie treści] brzmi: „Znajdujący się w tarapatkach finansowych mężczyzna do towarzysstwa zakochuje się w klientce obsesyjnie zajętej karierą, która nie umie nawiązywać bliskich relacji z innymi ludźmi”. W gruncie rzeczy to taka uwspółcześniona wersja *Pretty Woman*, która łamie stereotypy dotyczące płci, a jednocześnie stanowi skarbnicę żartów na temat seksu. [Przyznaj szczerze. Na pewno poszłabyś na ten film.]

– Już napisałaś cały scenariusz? – Pani Crannon rozdziawia usta i klaszcze w dłonie jak tresowana małpa. – Izzy, to fantastycznie! Wielu początkujących scenarzystów

ma problem z ukończeniem choćby jednego scenariusza, chociaż są zawodowcami po szkołach filmowych. Kiedy pracowałam jako reżyser teatralny, patrzyłam ze smutkiem na wielu pisarzy, którzy nie byli w stanie doprowadzić swoich fabuł do końca. Powinnaś być z siebie dumna. Możliwość napisania: KONIEC to duże osiągnięcie.

– Naprawdę?

– Naprawdę! – Bierze ode mnie maszynopis, studiuje profesjonalnie sformatowany tekst i starannie opisaną stronę tytułową. [Mój przyjaciel Danny ściągnął dla mnie piracką wersję specjalnego programu, bo chronicznie brakuje mi kasy na oryginał. Tylko nic nie mów policji internetowej. Ani, wiesz, tej prawdziwej.] – Chciałabym go wziąć do domu, żeby poczytać. Mogę?

Kompletnie nie spodziewałam się takiej demonstracji niesłuchanego wsparcia.

– Zrobiłaby to pani? Poświęciła swój wolny czas na to, żeby przeczytać mój tekst?

– Oczywiście! – Napycha sobie usta jeszcze jedną czekoladką, a paperek wyrzuca do przepełnionego kosza za krzesłem. Wysypują się z niego opakowania po słodyczach i puszki po napojach. Widać, że pani Crannon ma taki sam stosunek do zdrowej żywności jak ja. Czyli bardzo chłodny. – Wiem z naszej wspólnej pracy nad przedstawieniami szkolnymi, jaka jesteś utalentowana. Zrywam boki za każdym razem, kiedy zaczynasz improvizować i wtrącasz swoje własne uwagi.

Czerwienię się aż po uszy. Znowu.

– Dziękuję. Takie zachowanie irytuje do bólu większość ludzi.

– Cóż, większość ludzi nie aspiruje do kariery satyryka. Zastanawiałas się nad tym, co chciałabyś robić po szkole? Chcesz iść do college'u? Na praktyki? Jeżeli interesuje cię to i to, USC ma doskonały program dla scenarzystów – Spielberg jest jednym z jego absolwentów – a podczas wakacji wiosennych i letnich nie musiałabyś wyjeżdżać na praktyki, lecz odbyć je w Los Angeles. Idealnie pod każdym względem.

Bawię się nerwowo zamkiem kurtki ze sztucznej skóry, którą ubiegłej jesieni kupiłam w lumpeksie. Właśnie tej części rozmowy najbardziej się bałam – przyznania się do mojej sytuacji finansowej. I to już drugi raz w ciągu jednego dnia.

To nie powinno budzić aż takich emocji, bo na co dzień rzadko mi przeszkadza, ale teraz, kiedy ów fakt ma prawdziwy wpływ na decyzje dotyczące przyszłości, czuję się niekomfortowo mówiąc o pieniądzach.

Ale, jak już wspomniałam, pani Crannon stoi po dobrej stronie mocy. Wyznaję więc prawdę.

– Właściwie nie wiem, czy stać mnie na college. Zamierzam więc znaleźć tu jakąś pracę, żeby utrzymać siebie i babcię, a w wolnym czasie dalej będę pisać. Zrobię kilka krótkometrażówek i może w końcu uciułam.

Pani Crannon marszczy brwi. W cichym pokoju rozbrzmiewa terkot wiatraczka w jej komputerze, który właśnie przechodzi w tryb uśpienia. Po ostatnim dzwonku nawet urządzenia techniczne tracą zainteresowanie szkołą.

– Sprawdzalas, jakie są możliwości pożyczek? To znaczy na studia.

Mogłam się spodziewać, że o to zapyta.

– Trochę. Ale na samą myśl o tym, żeby się pogrążyć w jeszcze większych zobowiązaniach, oblatuje mnie strach. Zwłaszcza że nie mam rodziców, do których mogłabym pójść po pieniądze, jakby co.

Nauczycielka podwija purpurowe rękawy swojej obłędnej tuniki, odsłaniając owinięty trzy razy dokoła nadgarstka różaniec. Atakuje kolejną czekoladkę. Rozprawia się z nimi tak szybko, że naprawdę jestem pod wrażeniem. Gdyby jedzenie czekoladek było dyscypliną olimpijską, to pani Crannon miałaby zagwarantowane miejsce na podium. W tej chwili już dorównuje Simone Biles.

– Rozumiem – mówi tonem, który może oznaczać tylko jedno: że ni w ząb nie rozumie. – Naprawdę. Ale musisz o tym myśleć jak o inwestycji. W siebie. W swoją przyszłość. Wiem, że to frazesy, i pewno słyszałaś je już od Rosenqvista, jesteś młoda, bystra i ambitna. Musisz zawalczyć o siebie.

Kiwam głową, ale mój entuzjazm nieco opadł. Zawsze czuję się jak oklapnięty, pusty balon, kiedy ktoś radzi „spełniać swoje marzenia” osobom, które raczej „ciągną z dnia na dzień”, chociaż wiem, że przyświecają im dobre zamiary. Może dla nich brawura i ryzykanctwo są do przyjęcia, ale nie dla mnie.

Pani Crannon wyczuwa zmianę nastroju, chociaż z całej siły staram się ukryć przed nią rozczarowanie. Okazywanie słabości jest dla mnie mniej więcej tak przyjemne, jak wsadzenie głowy do wiadra z glistami. Ona jednak mnie przejrzała.

Wyciera czekoladę z kącika ust i mówi:

– Pomogę ci, Izzy, w miarę moich możliwości. Wygrzebię stare kontakty, rozejrzę się za płatnymi stażami

i polecę ci kilka miejsc, do których możesz wysłać swoje teksty, dopóki wciąż jesteś naszą uczennicą. USC byłby świetny, ale tradycyjne wykształcenie wyższe nie jest jedyną drogą w tej branży. – Uśmiecha się do mnie, a ja mimowolnie odwzajemniam jej uśmiech. – Coś wymyślimy. Obiecuję.

Po dwudziestu minutach wychodzę z brzuchem pełnym czekoladek Reese's, modląc się w duchu, żeby po tych wszystkich entuzjastycznych zachętach mój scenariusz spodobał się pani Crannon, i dociera do mnie, że nie lubię jej jedynie tak, jak ofiara syndromu sztokholmskiego. Lubię ją jak człowiek człowieka.

A więc jednak mam serce. Kto by pomyślał?

19.58

– Wynika stąd niezbiecie, że posiadam pewien organ pompujący krew – kończę triumfalnie.

Siedzę w barze z Ajitą i Dannym, parą moich absolutnie najlepszych przyjaciół. Łączy nas miłość do nachos i zgrywy ze wszystkiego.

Martha's Diner jest lokalem totalnie retro – z neonami, szafami grającymi, boksami i podłogą w szachownicę. Wszystko jest tu o wiele za drogie, więc musisz się zapożyczyć na kilka lat, żeby zjeść hamburgera, ale tutejsze frytki są odsmażane co najmniej osiemnaście razy, więc nie ma na świecie pyszniejszej żywności. Poważnie, szkoda że nie widziałas tego zamieszania w całym mieście, które wywołało otwarcie Martha's. Zwłaszcza wśród ludzi, którzy zamieszczają w mediach społecznościowych cytaty Marilyn Monroe i opowiadają ci na okrągło, jaka to szkoda, że nie urodzili się w latach pięćdziesiątych.

Spoko, spoko. Nic nie straciliście. Przecież nadal mamy shaki mleczne i rasizm.

Tak się składa, że Martha's to także lokal, w którym moja babcia Betty niechętnie dorabia jako specjalistka od naleśników. Właściwie niezupełnie dorabia, bo to jej jedyna praca. Ale lepiej brzmi, kiedy tak się mówi o jej zajęciu. Naprawdę jednak spędza dwanaście godzin dziennie na stopach wykrzywionych haluksami i dlatego niemal bez przerwy walczy z bólem, lecz absolutnie nie może sobie pozwolić na przejście na emeryturę. Właśnie dlatego nie mogę iść do college'u. Nie tylko z powodu chętnego, ale też dlatego, że muszę zostać w rodzinnym mieście i harować jak wół, żeby ona w końcu mogła pójść na zasłużony odpoczynek po wielu latach ciężkiego tyrania. Teraz moja kolej, żeby zapewnić jej utrzymanie.

Tymczasem właśnie opowiedziałam przyjaciółkom o rozmowie z panią Crannon i pochwaliłam się, że moja dusza nie jest taka martwa, jak dotąd sądziłam.

– Interesująca hipoteza, ale zdecydowanie ją odrzucam – odpowiada Ajita i zatyka za ucho kosmyk czarnych włosów, a potem siorbie przez słomkę shake jabłkowy. Henna na jej dłoniach już zaczyna blaknąć po weselu kuzynki, które odbyło się w ubiegłym miesiącu. – No bo przejmowanie się innymi ludźmi kompletnie nie pasuje do twojej osobowości. Krótko mówiąc, o ile w twoim mózgu nie zagnieździł się jakiś pasożyt z kosmosu, nic mnie nie przekona, że potrafisz czuć sympatię do więcej niż trzech osób jednocześnie, a te miejsca już są zajęte przeze mnie, Danny'ego i Betty.

– To uzasadniony argument – ustępuję.

Czując swąd przypalonego ciasta naleśnikowego, zerkam nad ladą na wielką kuchnię, całą w chromach, starając się wypatrzyć Betty. Ona jednak przepadła bez śladu. Pewnie pociąga ze swojej piersiówki na zapleczu i opowiada nieprzywoite żarty naiwnej zmywaczce. [Wyjaśniam przy okazji, że zmywaczka jest osobą, a nie urządzeniem. Moja babcia może być szurnięta, ale nawet ona nie wdaje się w dyskusję ze sprzętem kuchennym.]

– Fajnie, że Crannon przeczyta twój scenariusz – mówi Danny, mieszając trzema słómkami w rozmiarze jumbo swój shake o smaku solonego karmelu, bananów i truskawek. Ma na sobie wytarty T-shirt z pokemonami, który dostał ode mnie na dwunaste urodziny, ale który wciąż na niego pasuje przez wzgląd na zastraszająco niski wskaźnik BMI Danny’ego. – Wcale nie musiała tego robić.

Potakuję gorliwie.

– Prawda? I cały czas obsypywała mnie komplementami. Podoba jej się nawet, kiedy spontanicznie dopowiadam coś od siebie podczas prób. Podjęłam próbę wykazania, że jestem świadoma swoich ułomności, i zwróciłam jej uwagę na fakt, że takie zachowanie wyzwała u innych mordercze instynkty, ale nie zmieniła zdania. Szczerze podoba jej się moja paplanina.

– To dowodzi, że ta kobieta powinna na mocy ustawy o zdrowiu psychicznym zostać zamknięta w zakładzie – podpowiada usłużnie Ajita.

Pstrykam w nią grudką bitej śmietany, która ląduje na nosie Ajity, a ta zlizuje ją swoim przeraźliwie długim językiem. Pochodzi z Nepału i ma najwyżej metr wzrostu, ale jej jęzor jest dłuższy niż u bernardyna. Gdybym, na

przykład, rozlała shake na podłogę, zlizalaby go, nawet się nie pochylając. To naprawdę niezwykle.

– Ja tam zawsze uważałem, że Izzy jest śmieszna – mamrocze Danny i znika pod czapą swoich skołtunionych włosów.

Oślupiałe zerkamy z Ajitą na siebie. Aż do teraz Danny dosłownie ani razu nie powiedział mi nic miłego. Nawet gdy miałam pięć lat i moi rodzice zginęli, nasza przyjaźń opierała się na niewinnych antagonizmach.

– Z wyglądu? – sugeruje Ajita, chwytając się mentalnej brzytwy.

– Zamknij się – odpowiada Danny, nie patrząc na nas.

– Idę zapłacić za shaki.

Zsuwa się z ławki, wychodzi z boksu i idzie do kasy, gdzie obdarzona dużym biustem studentka pierwszego roku wita go z takim entuzjazmem, jaki można z siebie wykrzesać za płacę minimalną.

– Co to, do diabła, miało znaczyć? – szepczę do Ajity za bardzo zszokowana, żeby stroić sobie żarty. – Jego zdaniem jestem zabawna? Co jeszcze? Czy zaczniesz sądzić, że jestem przyzwoitą istotą ludzką?

– Nie dajmy się ponieść wyobraźni – stopuje mnie Ajita. – Ale czekaj no, on poszedł zapłacić za shaki? Stawia nam? Dlaczego? Czy całe życie robił nas w konia? Czyżby naprawdę był tajemniczym milionerem? Ostatnią rzeczą, jaką od niego dostałam, było pudełko tamponów. I to tylko dlatego, że chciał w ten pasywno-agresywny sposób wytknąć mi, że moje reakcje podczas ostatniej kłótni były mocno przesadzone.

Wyskoczywszy z forsy, Danny wraca do nas i z zadowoloną miną wsuwa portfel z powrotem do kieszeni

dżinsów. Pikachu na jego T-shircie uśmiecha się złośliwie, kiedy niemal zderza się z kelnerką niosącą trzy tosty klubowe. Ta zerka groźnie na Danny'ego, ale on tak intensywnie się na mnie gapi, że niemal jej nie zauważa. A potem nagle uśmiecha się dziwacznie, jakby nieśmiało. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby tak się uśmiechał. Uśmiech. W wykonaniu Danny'ego. No, dajcie spokój.

Co tu się, proszę państwa, odpierdziela?